

Wspomnienia mieszkańców Kromnowa

BEZLITOSNA ZIEMIA

Bronisław Figiel

Opracował:

Edward Biliński

na podstawie tekstu Bronisława Figla

Syberyjskie wspomnienia rodziny Figlów z lat 1940- 1946

Mój ojciec, Józef Figiel, urodził się w 1878 roku w Biskowicach w powiecie Sambor w województwie lwowskim. Pochodził z biednej, wielodzietnej rodziny. Kiedy ukończył osiemnaście lat, pracował dwa lata u Niemców w Prusach Wschodnich, następnie po upływie kilku miesięcy, wyjechał do Stanów Zjednoczonych Ameryki, gdzie przebywał około dziesięć lat. Cały ten okres przepracował w kopalniach węgla, w niezwykle ciężkich warunkach. Zdołał zarobić trochę pieniędzy i powrócił do kraju. Kupił nieduże gospodarstwo i ożenił się z piękną kobietą o imieniu Anna. W 1912 roku przyszedł na świat ich pierwszy syn Wojciech. Dalsze plany rodziny dotyczące przyszłości, zmusiły ojca do ponownego wyjazdu do Ameryki. Kolejny pobyt miał trwać najdłużej dwa lata. Wybuch I wojny światowej opóźnił powrót ojca do ośmiu lat. Wrócił do niepodległej ojczyzny w 1920 roku. Kupił wówczas 12 hektarów ziemi we wsi Grabownica w gminie Nowe Miasto w powiecie dobromilskim. Na zakupionej ziemi pobudował budynki i wraz z żoną rozpoczął zagospodarowywanie ziemi, która leżała od kilku lat odłogiem. Rodzice pracowali na nowej gospodarce bardzo ciężko. Rodzina stale się powiększała. W ciągu dziewięciu lat urodziło się pięcioro dzieci, którym nadano imiona: Józef, Helena, Kazimierz, Franciszek i Bronisław. Ja byłem tym najmłodszym. W latach trzydziestych nastąpił światowy kryzys gospodarczy, który odczuli również chłopcy w Polsce. Na domiar złego spaliła się w tym czasie nasza stodoła ze zbiorami i zachorował na długie miesiące ojciec. Najstarszego brata powołano do wojska, cały ciężar prowadzenia gospodarki spadł na naszą matkę. Dzięki Bogu, ojciec powrócił do zdrowia, kryzys minął, sytuacja naszej rodziny poprawiła się. Rodzice snuli plany o przebudowie domu z drewnianego na murowany, chcieli, aby każde dziecko zdobyło jakiś zawód. Niestety, wybuchła II wojna światowa. 1 września miałem jedenaście lat. W pierwszych dniach po wybuchu wojny było sporo zamieszania, pojawili się na drogach uciekinierzy, którzy uciekali na wschód i na południe. Kolonia, w której był nasz dom, znajdowała się 22 kilometry

na południowy wschód od Przemyśla. Cała nasza rodzina gościła uciekinierów udostępniając im noclegi, no i oczywiście karmiąc ich. Do uciekinierów dołączyli wkrótce żołnierze, którzy wracali z rozbitych pododdziałów. Na temat Niemców krążyły różne straszne wieści. Ojciec z bratem Kazimierzem postanowili uciekać. Wszyscy podczas rozstania rozpaczliwie płakaliśmy. Dwaj najstarsi bracia Wojciech i Józef byli w tym czasie w wojsku. Około piętnastego września wkroczyły do naszej miejscowości wojska hitlerowskie.

Wkrótce powrócił do domu ojciec z bratem Kazimierzem. W tym czasie byliśmy świadkami znęcania się Niemców nad ludnością żydowską z Nowego Miasta. Około 10 października wojsko niemieckie wycofało się na zachód, ich miejsce zajęła Armia Czerwona. Na mocy układu Ribbentrop-Mołotow granice między ZSRR i Niemcami ustalono na Sanie w okolicy Przemyśla. Nasza miejscowość znalazła się pod okupacją sowiecką. Dostaliśmy się pod szczególną opiekę komisarzy wojskowych, którzy skrupulatnie spisywali wszystkie potrzebne im dane. Z wojny wrócili bracia. Wojciech przekroczył granicę legalnie w ramach prowadzonej wymiany jeńców, Józef natomiast przeszedł przez nią nielegalnie. Uciekł z niewoli niemieckiej i pieszo powrócił do domu.

W nocy, około pół do trzeciej, z 9 na 10 lutego 1940 roku nastąpiła w naszym domu rewizja. Dokonali jej żołnierze NKWD. Byli z nimi Ukraińcy z Milicji Ludowej. Powiadomili nas, że mają nakaz wysiedlenia nas z domu. Pozwolili nam zabrać trochę żywności. W międzyczasie brat Józef, który uciekł na początku całego zajścia, po czym wrócił, żeby ubrać się i pożegnać z mamą, uciekł ponownie z domu. Niestety zauważony, w czasie ucieczki przez pole, przez Rosjan musiał się poddać. Po tym zajściu, kazano nam wynosić się z domu. Mama z dziećmi jechała na saniach, ojca z innymi mężczyznami prowadzono pieszo. Do pieszych dołączono brata Wojciecha

mieszkającego w innym domu wraz ze swoją rodziną, Józef natomiast szedł oddzielnie pod eskortą. Po przyjeździe na dworzec kolejowy zauważyliśmy, że stoi tam kilkanaście, a może kilkadziesiąt wagonów towarowych, przy których stali wartownicy z bronią. Poprowadzono nas w kierunku wagonów. Do każdego z nich wepchnięto po czterdzieści i nawet więcej osób. W wagonach były piętrowe prycze, żelazny piecyk i otwór w podłodze spełniający funkcje ustępu. Mężczyznom pozwolono dołączyć do rodzin. Józefa zaprowadzono do ratusza w Nowym Mieście. Transport ruszył do Przemyśla, gdzie dołączono jeszcze kilkanaście wagonów i ruszyliśmy w kierunku Lwowa. We Lwowie przeładowano nas do wagonów o innym rozstawie kół. Warunki podróży okazały się niezwykle ciężkie. Pierwszy dłuższy postój był dopiero w Kijowie, gdzie nas wypuszczono na świeże powietrze. Tu dostaliśmy też dwa wiadra zupy oraz kilka bochenków chleba, czarnego jak ziemia i kwaśnego jak ocet. Ten pierwszy sowiecki posiłek był okropny. Pomimo panującej w drodze dyzenterii, jedliśmy wszystko, co nam dano, bowiem nasze własne zapasy szybko się skończyły. W wagonie zaległy się wszy; wszędzie panował brud. Nasz transport składający się z kilkudziesięciu wagonów ciągnęły dwie lokomotywy, a przez Góry Ural aż trzy. Ciągłe występowały problemy z brakiem opału. Trzeba było zdobywać go w czasie postojów. Do Omska przybyliśmy około 15 marca wieczorem. Tutaj, po wyładowaniu, umieszczono nas w długim budynku. Cały transport podzielono na trzy grupy. Pierwsza wyjechała trzeciego dnia. Naszą rodzinę przydzielono do drugiej grupy. Po tygodniowym pobycie w Omsku, załadowano nas na ciężarówki ustawione w kolumnie i ruszyliśmy kierunku północnym. Na dworze było ponad 35 stopni mrozu. Po kilkudziesięciu kilometrach prawie wszyscy byli chorzy z powodu spalin. Szczególnie odczuły to kobiety i dzieci. Większość miała torsje. Dalsza droga była coraz gorsza, coraz bardziej zawiana śniegiem. Na niektórych odcinkach mężczyźni musieli pchać samochody. Zatrzymywaliśmy się po drodze dwukrotnie na posiłek. Wresz-

cie dotarliśmy do Tary, miasta oddalonego od Omska o około 300 kilometrów. W Tary nakarmiono nas. Tego samego dnia po południu załadowano nas na sanie. Ruszyliśmy dalej. Po kilkugodzinnej podróży zatrzymaliśmy się w lesie. Ulokowano nas w dużym, drewnianym baraku. Ludzie cierpieli na odmrożenia. Dostaliśmy tylko gorącą wodę zwaną „kapatokiem”. Rano, po wschodzie słońca, ruszyliśmy saniami w dalszą drogę. Mróz był siarczysty, utrudniał oddychanie. Około południa dotarliśmy do miejsca naszego przeznaczenia. Miejscowość nazywała się Bieriozowka. Stało w niej sześć baraków. Ludzie zamieszkali w trzech, a w pozostałych mieściła się kuchnia ze stołówką, izba chorych i łaźnia. W osobnym baraku mieszkał komendant z obsługą. W baraku, w którym ulokowano naszą rodzinę, zamieszkało sto osób. W trzecim dniu przemówił do nas komendant obozu Ryszetnikow. Najpierw przedstawił swoją kadrę. Następnie powiedział nam, że o Polsce nie wolno nam nawet wspomnieć, bo Polski nie ma i już nie będzie. Zapowiedział, że od następnego dnia wszyscy w wieku od 14 do 65 lat pójdą do pracy w lesie. Każdy będzie miał wyznaczoną normę i jeżeli tej normy nie wypracuje, to otrzyma 400 gramów chleba, co stanowi połowę przydziału. Starcy, kobiety i dzieci mają obowiązek pracy na terenie obozu. Wiosną zostaną skierowani do pracy w lesie. Po zbiórce nastąpiło zupełne załamanie wśród ludzi. Byli jednak tacy, którzy pocieszali, inni zachęcali do modlitwy. I tak rozpoczęło się obozowe życie.

Z nadejściem wiosny pojawiły się wielkie roztopy. Nasi najbliżsi pracowali w odległej o 18 km wiosce Tymirka. Odwiedzali nas czasami. Była wtedy okazja by mama naprawiała odzież, wyprała bieliznę. Sytuacja finansowa naszej rodziny była zła. Ojcu ciągle odliczano pieniądze za jakieś należności. Z bratem Frankiem byłem zmuszony pójść do pracy w lesie. Dołączył do nas ojciec. Warunki pracy były niezwykle trudne. Ustalono nam bardzo wysokie normy. Po trzech tygodniach ojciec

ciężko zachorował na zapalenie nerek. Zabrano go do izby chorych, z której w wyniku inspekcji grupy komisarzy NKWD kazano go zabrać do baraku. Latem nastąpiły straszne upały. Piliśmy wodę z moczarów. Najgorsze były komary; musieliśmy pracować w dokładnie pozapinanych ubraniach. Na głowach mieliśmy kapelusze z siatką osłaniającą twarz. W połowie września pierwsza tura mieszkańców Bieriozowki wyjechała do nowo wybudowanego posiołka o nazwie Pjatilietka. Nasza rodzina wyjechała w drugiej turze w połowie października. Osiedlono nas w domu czterordzinym. Każda rodzina mieszkała w jednej izbie i z drugą rodziną miała wspólną kuchnię. Nasz posiołek był przedłużeniem rosyjskiego osiedla, którego mieszkańcy też byli pod nadzorem NKWD, deportowani w latach trzydziestych i również uważani za element wrogi wobec władzy sowieckiej. W większości byli to Ukraińcy i Białorusini. Nasze osiedle powiększało się z każdym dniem. Domy rosły jak grzyby po deszczu. Z każdym dniem przybywało też mieszkańców, których przywożono z różnych obozów z całego rejonu (powiatu). Mnie i brata Franka przydzielono do pracy na przystani rzecznej w Pałahrudowej. Zwożono tam dłużyce, która cięliśmy ręczną piłą na metrowej długości klocki i układali w stosy. Były one potem ładowane na barki rzeczne i wywożone do Omska i jeszcze dalej. Ojciec z Heleną i Kazikiem pracowali nadal w Tymirce i odwiedzali nas bardzo rzadko. Wojciech pracował w odległej o 50 kilometrów Michajłowce.

Na początku marca jacyś nieznajomi ludzie zapukali do naszych drzwi. Okazało się, że wśród nich był brat Józek. Matka uściskała go, rozplakała się, uklękła i powiedziała: *Matko Najświętsza zostałam przez Ciebie wysłuchana. Moje dziecko żyje. Bądź uwielbiona*. Ja tego wieczoru poznałem brata po głosie ponieważ chorowałem na „kurzę ślepotę”. Okazało się, że ubranie miał strasznie podarte, pod nim nie miał ko-

szuli. Miał zarośniętą twarz i długie włosy. Wkrótce skierowano go do pracy przy spławie drewna na rzece.

22 czerwca 1941 roku wieczorem dotarła do nas wiadomość, że Niemcy hitlerowskie napadły na ZSRR. Większość tubylczej ludności przyjęła tę wiadomość z pewną nadzieją, że nastąpi jakaś zmiana. My, Polacy uważaliśmy, że jest to początek końca, liczyliśmy, że Rosjanie przestaną nas prześladować. Sytuacja jednak pogorszyła się; zmniejszono racje chleba i zupy. Zwiększono ilość godzin pracy oraz wprowadzono kolejne rygory. Usiłowano nam wręczyć dokumenty na podstawie których uważano by nas za obywateli radzieckich. Uprzedzeni o tym w porę, nie daliśmy się zaskoczyć. W tym czasie dowiedzieliśmy się, że w lipcu 1941 roku toczyły się rozmowy między gen. Władysławem Sikorskim i ambasadorem sowieckim Iwanem Majskim, w trakcie których uzgodniono, że wszyscy Polacy znajdujący się w łagrach i więzieniach mają być zwolnieni i traktowani jako obywatele Polski. Niestety, niższe szczeble sowieckiej władzy nie respektowały tych ustaleń, wręcz przeciwnie, utrudniały nam życie. Ludzie zaczęli uciekać w kierunku Omska. Helena i Józef postanowili także wyruszyć w nieznane. Pod koniec listopada 1941 roku kiedy zima była już w pełni, opuścili dom. Cierpieliśmy coraz większy głód. Bywało, że nie dostawaliśmy nawet chleba. Po miesiącu przyszła Helena i oznajmiła nam, że pracuje z Józkiem w miejscowości Jekatierynowka odległej o 60 kilometrów. Po miesiącu cała rodzina znalazła się w nowym miejscu. Pomimo ciężkiej pracy przydzielone racje żywnościowe były wręcz głodowe. Po przyjeździe ojca i matki przeniesiono nas do oddzielnego baraku, gdzie musieliśmy naprawić piec, drzwi, okna i dach. Później, kiedy ojciec z Józefem zostali zatrudnieni w kołchozie Komuna Frunza w odległości około 20 km od Jekatierynowki, przenieśliśmy się tam i wkrótce pracowaliśmy wszyscy. Miejscowość Komuna Frunza była położona przy głównym szlaku między Tarą

a Omskiem. Na tym szlaku często spotykaliśmy naszych rodaków ciągnących sanki z małymi dziećmi. Podążali w kierunku Omska, do najbliższej stacji kolejowej. Odległość była ogromna – wynosiła 300 kilometrów. Widok naszych ludzi był okropny; byli głodni, zmarznięci i obdarci. Była zima 1942 roku, mówiło się, że gdzieś na południu Rosji jest formowana polska armia. Chodziło oczywiście o armię gen Andersa. Nasi mężczyźni również chcieli podążać do tej armii, ale dopiero wiosną, gdy rozpocznie się żegluga na rzece Irtysz.

W czerwcu 1942 roku przewodniczącego kołchozu o nazwisko Makaro powołano do wojska. Na jego miejsce mianowany został przewodniczący komisaryczny, który nie był rolnikiem i jak się wkrótce okazało nie potrafił zarządzać tak ogromnym kołchozem. Szybko powstał bałagan i chaos. Do Polaków był nastawiony wrogo. Nasza sytuacja materialna była poważnie zagrożona. Nie mając innego wyjścia musieliśmy pracować i czekać na końcowe rozliczenie. O porzuceniu pracy nie było mowy, tym bardziej, że nie posiadaliśmy żadnych dokumentów tożsamości.

Po skończonej akcji omłotowej niemal wszystko zboże zostało wywiezione do magazynów państwowych. Komisja stwierdziła, że plan został wykonany z nadwyżką. Dostaliśmy około 600 kg zboża i 950 kg ziemniaków. Niestety, pieniądze, które miały być rozdzielone między kołchoźników, zostały przeznaczone na cele kołchozu. Nie mieliśmy środków na zakup odzieży. Szyliśmy ją z worków. Pod koniec lutego następnego roku siostra Helena zachorowała na tyfus plamisty. Z trudem, ale udało się ulokować ją w szpitalu w Tarze. Po niej zachorował Franek, w międzyczasie zmieniliśmy miejsce zamieszkania i pracy. Zamieszkaliśmy w miejscowości Atak. Pod koniec marca wróciła ze szpitala Helena. Franek jeszcze nie wrócił do zdrowia, kiedy ja zachorowałam, następnie ojciec i Kazik. Zaraz potem nasza mama. Udało się zabrać saniami mamę, ojca i Kazika do odległego o 25 km szpitala. Do domu wrócił Józef

i powiedział, że ojciec z Kazikiem zostali przyjęci do szpitala. Po chwili rozplakał się i powiedział, że mama nie żyje. Zmarła w wieku 54 lat. Zanim jej ciało zostało pochowane w syberyjskiej ziemi, dla nas tak bardzo bezlitosnej, Wojciech i Józef przystąpili do kopania grobu. Trzeba było palić ognisko, żeby trochę ziemi odtajało. Wykopanie grobu zajęło im trzy dni. Na pogrzeb przyszła Niemka mieszkająca w naszym baraku. Oprócz naszej rodziny w tej miejscowości nie było Polaków. Mama została pochowana na rosyjskim cmentarzu. Na grobie postawiliśmy krzyż z drewna brzoźowego. Po trzech tygodniach wrócił ze szpitala ojciec z Kazikiem.

Powitaliśmy z ulgą kolejną wiosnę. Śniegi stajały, rzeką płynęła kra. Kiedy zazieleniła się trawa, pojawiła się pokrzywa. Ludzie zrywali ją i gotowali zupę. Żyliśmy wówczas w strasznej nędzy. Nie mieliśmy odzieży, obuwia. Od lat nie widzieliśmy kawałka mydła. Używaliśmy do mycia popiołu z drewna gotowanego w wodzie. W maju dowiedzieliśmy się, że nasze nadzieje na powrót do kraju rozwiały się, ponieważ armia gen. Andersa wyjechała na Bliski Wschód. Władze rosyjskie zaczęły traktować nas jeszcze gorzej. W czerwcu podjęliśmy prace w kołchozie w Ataku. W połowie lipca Wojciech, Józef, Helena i Kazimierz otrzymali wezwanie do Wojenkomatu w Tarze w celu powołania do polskiego wojska. Helena dostała odroczenie i wróciła do domu. Dopiero w drugiej połowie września otrzymaliśmy wiadomość od braci, że są zdrowi i są żołnierzami w polskim wojsku. Późną jesienią, kiedy mieliśmy trochę zarobionych pieniędzy, nie mogliśmy na terenie Ataku, ani nawet w Tarze zakupić potrzebną na zimę odzież. Kupiliśmy od Rosjan okazynie buty. Dla nas najważniejsze jednak było to, że wieczorami mogliśmy być razem, ojciec czuł się trochę lepiej, ja z Frankiem dbaliśmy o opał, zakup przydziałowego chleba, co nie było takie łatwe. Na niosących chleb napadano. Z listów od braci wynikało, że przechodzili przeszkolenie. Na początku stycznia 1944 roku przyszły duże mrozy i wiatry.

Franek pracował w lesie w odległości kilkudziesięciu kilometrów od domu, Helena i ja pracowaliśmy na miejscu w lesie. Praca była niezwykle ciężka. Wiosną po powrocie Franka do domu, zacząłem pracę z bratem w kołchozie. Całymi dniami oraliśmy w polu. Wieczorami karczowaliśmy plac po zrębie i zrobiliśmy ogród wielkości 600 m kwadratowych pod ziemniaki. Całe lato pracowałem z Frankiem w kołchozie w Iziupce 20 km od Ataku. Ogród obrabiał ojciec i przy pomocy Heleny zebrał wszystko przed zimą. Bracia pisali listy już z terenów Polski. Front zbliżał się do Warszawy. Wojciech przysłał nam dokumenty na podstawie których wystaraliśmy się dla jego rodziny o zasiłek, jaki przysługiwał rodzinom żołnierzy armii radzieckiej. Dostaliśmy wiadomość, że w Tarze działa Związek Patriotów Polskich, od którego można otrzymać pomoc materialną. Okazało się, że ta pomoc jest nieznaczna. Prawdopodobnie pomoc zagraniczna przeznaczona dla ludności polskiej trafiała do działaczy ZPP i ich sowieckich mocodawców. I oto znów przyszły święta Bożego Narodzenia. Wieczór wigilijny spędziliśmy w rodzinnym gronie i z sąsiadką pochodzenia niemieckiego wraz z jej dziećmi. Wkrótce powitaliśmy Nowy Rok 1945. W połowie lutego otrzymaliśmy paczkę od Józefa, a za kilkanaście dni od Kazimierza. Przysłali nam trochę bielizny osobistej i pościelowej oraz dwie sukienki, bluzy i trzy pary spodni. Wojciech przysłał paczkę także dla swojej rodziny. Kilka dni później Józef napisał, że od Bożego Narodzenia nie ma żadnej wiadomości od Kazimierza i Wojciecha, że front przesuwa się bardzo szybko, mimo prowadzonych bardzo ciężkich walk. Mijała zima, a żadnej wiadomości także od Józefa nie było. 9 maja wracałem z Frankiem z pracy w polu do baraku. Powitali nas Rosjanie okrzykiem: *Polaki, pojeździecie do domu, do Polski*". *II wojna światowa skończyła się*. Pod koniec maja dostaliśmy wiadomość od Heleny, że mamy przyjechać do domu. Gdy przyjechaliśmy, Helena czekała na nas w bazie kołchozowej, była smutna i zapłakana. Oznajmiła nam, że Józef zginął 17 kwietnia 1945 roku w czasie walk z Niemcami. Otrzymała jego kartę po-

śmiertną .Płakaliśmy wszyscy troje. Postanowiliśmy nie mówić ojcu o śmierci Józefa. Baliśmy się o jego zdrowie; śmierć mamy bardzo go załamała. Straciliśmy drugą osobę, niezwykle nam drogą, opiekuńczą, troskliwą. Pod koniec czerwca otrzymaliśmy wiadomość od Kazimierza, który potwierdził, że Józef zginął.

Na przełomie września i października rozpoczął się powrót żołnierzy radzieckich zwolnionych z wojska do domu. Ci ludzie wracali po pięciu latach walki. Przekonali się, że władze ich lekcewały, ich rodziny żyły w nędzy. W obawie przed buntem wprowadzono jeszcze większy reżim. W styczniu 1946 roku powiadomiono nas, że należy się zgłosić do Rejonowego NKWD w Tarze i złożyć wnioski na wyjazd do Polski. W Tarze dowiedzieliśmy się, że niektórym Polakom wniosków nie przyjęto. Pod koniec kwietnia musieliśmy osobiście odebrać dokumenty uprawniające nas do wyjazdu do Polski. Helena z Frankiem otrzymali je bez problemu na drugi dzień po zgłoszeniu się. Dokumentów ojca i moich jako niepełnoletniego nie wydano rodzinie. Do Tary było 25 km i trzeba było przeprawić się przez liczący kilometr szerokości Irtysz. Na drugi dzień ojciec, ja i bratowa Genowefa udaliśmy się do Tary. Przedostaliśmy się łodzią na drugi brzeg rzeki i pod wieczór dotarliśmy do Tary. Następnego dnia przyjęto nas w komisariacie opryskliwie, twierdzono, że dokumenty przygotowane są już do wysyłki do Moskwy, że należało je odebrać wcześniej. Ostatecznie wydano nam jednak tak bardzo upragnione dokumenty z odpowiednim instruktażem o konsekwencjach ich ewentualnej utraty. Po powrocie do domu napisaliśmy listy do Kazimierza i Wojciecha, że w najbliższym czasie wyjedziemy do Polski. Po otrzymaniu dokumentów rozpoczęliśmy już na dobre przygotowywania do podróży. Helena piekła placki, my suszyliśmy przydziałowy chleb. Zdobyliśmy także trochę kaszy jęczmiennej. Staraliśmy się zdobyć jak najwięcej żywności ponieważ podróż mogła trwać około dwóch miesięcy. Około 5 maja zostaliśmy powiadomieni, że

dnia 12 maja po południu przybije do przystani w Tarze statek, który zabierze ludzi udających się do Polski. Przewodniczący kołchozu Trupczynin pożegnał nas w imieniu wszystkich pracowników, wyraził uznanie dla naszej pracy w czasie wojny i życzył nam szczęśliwej podróży oraz zdrowia i lepszego bytu w naszej prawdziwej ojczyźnie. Na zakończenie pożegnania powiedział: *Nie miejcie urazy do naszych ludzi za doznane tu krzywdy, bo my, prości ludzie rosyjscy jesteśmy wam życzliwi*. Sprzęt domowy rozdaliśmy, ogród przekazaliśmy Niemce Marii Szemberg. Dzień przed wyjazdem odwiedziliśmy grób matki na cmentarzu by pożegnać się z nią ostatecznie. Po południu byliśmy już w Tarze na przystani. Statek o nazwie „Leningrad” przyплыł w nocy. Po załadowaniu ludzi na statek zrobiło się bardzo ciasno. Ciepłe kajuty zajmowali polscy komuniści ze Związku Patriotów Polskich. Nasz chory i mocno osłabiony ojciec pozostawał z nami na pokładzie. Interwencja Heleny nic nie dała. Nad ojcem zlitowali się Rosjanie z załogi statku, którzy zabrali go na górę do kajuty. Spotkaliśmy dużo znajomych z Bierzowki i Połahrudowej. W czasie podróży statkiem podawano nam tylko kipyatok. Podróż do Omska trwała noc i dzień. Tam czekaliśmy tydzień na transport kolejowy. Po załadowaniu nas do wagonów towarowych ruszyliśmy w drogę. Pociąg jechał bardzo wolno, mieliśmy dużo postojów. Wreszcie dotarliśmy do Moskwy. Po umyciu zaprowadzono nas do restauracji, gdzie zjedliśmy obiad. Powiedziano nam, że pojedziemy linią południową przez Mińsk na Brześć. Droga ta, jak okazało się później, była niebezpieczna ze względu na grasujące bandy UPA. Pod transporty podkładano ładunki wybuchowe, ginęli ludzie. W Mińsku transport zatrzymał się na całą dobę. Ruszyliśmy do Brześcia, gdzie dotarliśmy około osiemnastego czerwca. Staliśmy tam dwa dni, po czym nastąpił przeładunek do pociągu o innym rozstawie kół. Pod wieczór ruszyliśmy dalej. Po drodze dokonano ścisłej kontroli dokumentów i bagaży. Ojcu zabrano wówczas stare, podarte rzeczy, które nosił na Syberii. Wiózł je do kraju na pamiątkę straszliwej poniewierki na Syberii.

Granicę przekroczyliśmy w Terespolu. Staliśmy tam cały dzień. Od momentu przekroczenia granicy opiekę nad nami przejął Polski Urząd Repatriacyjny. PUR kierował naszym transportem oraz zaopatrywał w żywność i częściowo w odzież. Wieczorem ruszyliśmy w kierunku Łodzi, następnie przez Poznań Gniezno, Inowrocław, Piłę, Szczecinek dotarliśmy do Drawskiego Pomorskiego. Tam opuściliśmy pociąg. Było to 26 czerwca 1946 roku. Przewieziono nas do PGR-u w Kiełpinie.

Z Kazimierzem spotkaliśmy się w październiku. Jako osadnik wojskowy zajął gospodarstwo rolne we wsi Proszowa na Dolnym Śląsku. Z Wojciechem natomiast zobaczyliśmy się 26 grudnia 1946 roku. W tym czasie mieszkał w Linowie. Obecnie ta miejscowość leży w województwie kujawsko-pomorskim. Podczas spotkania z Kazimierzem ojciec dowiedział się o śmierci Józefa. Grób brata odnaleziono w latach osiemdziesiątych. Został pochowany w zbiorowej mogile na cmentarzu wojskowym w Siekierkach. Kazimierz namawiał nas byśmy przyjechali do niego. Wtedy w Proszowej, wsi położonej w masywie Gór Izerskich, było dużo opuszczonych domów, ziemia stała odłogiem. Ruszyliśmy w końcu do brata w trójkę – ojciec, Franek i ja. Wieś była pięknie położona. Bez trudu znaleźliśmy gospodarstwo z ziemią pod uprawę. Po kilku latach pobytu we wsi, w 1953 roku, brat Franek ożenił się z Marią Wolską siostrą Karola. Ja ożeniłem się z córką Karola Stanisławą Wolską też w 1953 roku. Ślub odbył się w pięknym kościele w pobliskiej wsi. Tam też prowadziliśmy przez dwanaście lat gospodarstwo rolne. Helena wyszła za mąż i zamieszkała w Złocińcu. W 1965 roku z żoną Stanisławą i dziećmi Teresą i Wojciechem zamieszkaliśmy w Kromnowie.

Epilog

Bolesław Figiel autor „Syberyjskich wspomnień rodziny Figlów z lat 1940-1946” zmarł 17 lipca 2005 roku w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat i został pochowany na cmentarzu kromnowskim. Żona Stanisława, dzieci, wnuki i prawnuki mieszkają w Kromnowie. Wyrażam podziękowanie całej rodzinie Figlów, a szczególnie pani Stanisławie za udostępnienie mi pamiętnika męża Bronisława oraz zdjęć rodzinnych. Dzięki temu mogłem dokonać streszczenia tego niezwykle interesującego zapisu historii życia i niemal katorżniczej pracy Polaków na dalekiej Syberii w czasie trwania II wojny światowej. Dramatyczne losy tej rodziny potoczyły się inaczej, niż rodzin, które trafiły pod opiekę armii gen. Andersa. Figlowie musieli pozostać w Rosji do końca wojny. Powrót do Polski nie był dla nich czymś oczywistym. Przy braku szczęścia mogli zostać wbrew własnej woli obywatelami radzieckimi. Taki los spotkał wiele rodzin polskich. Trzej bracia walczyli w polskim wojsku na froncie wschodnim. Józef, który na początku wojny walczył jako żołnierz polskiego września, zginął w kilkanaście dni przed końcem wojny w czasie jednej z najbardziej krwawych bitew tego frontu pod Siekierkami. Został pochowany wraz z dwoma tysiącami polskich żołnierzy. Do kraju nie wróciła matka rodziny – Anna. Na zawsze pozostała w syberyjskiej ziemi. To równie bolesna ofiara złożona jeszcze nieco wcześniej przez tę niezwykłą polską rodzinę ukochanej ojczyźnie. Po dramatycznym okresie syberyjskiej poniewierki, pozostałym przy życiu dzieciom i ich ojcu, los pozwolił żyć jeszcze długo w czasie pokoju.

Potrafili za to być wdzięczni do końca swych dni Panu Bogu.